



Droga Mayonez
Way przez
lodowiec Kahiltna
zachwyca swoim
pięknem
i przestrzenią

FOT. PRZEMYSŁAW KWARTA



McKinley, czyli śnieżna pułapka

Zbyszek Bąk, Przemysław Kwarta

Związani liną asekuracyjną schodzimy z High Campu (5350 m n.p.m.) w dół do bazy pod McKinleyem. Jesteśmy zmęczeni po ataku szczytowym. Idziemy ostrą granią, po bokach której są dość duże ekspozycje. Gdy dochodzi do przetęczy, Bartek oświadcza, że odpina się z liny. Mówi, że dokucza mu odmrożony policzek i chce się jak najszybciej znaleźć na dole. – Widzimy się w obozie – żegna się, a w chwilę później sprawnie i szybko znika za załomem skały. My idziemy wolniej tą samą trasą. Nie mija pięć minut, gdy dochodzimy do skały, za którą zniknął. Nagle, widzimy go leżącego nieruchomo paręnaście metrów poniżej, na śniegu, otoczonego wianuszkami alpinistów. Serce zamiera mi bez ruchu... ▶

Widok z High Camp
(5370 m n.p.m.)
na grań. Pod nami
już tylko chmury,
nad nami
– McKinley
(6134 m n.p.m.)



FOT. ZBIGNIEW BAK

Po 25-godzinnej, męczącej podróży samolotem przez Atlantyk (z przesiadkami w Paryżu i Salt Lake City) łądujemy w Anchorage, jednym z większych miast Alaski. Stamtąd busem zaprzyjaźnionego Toma dostajemy się do Talkeetny. Tu mamy się spotkać z rangerami na odprawie i szkoleniu górskim. Stąd też odbierzemy permity, pozwalające na działania na terenie Parku Narodowego Denali.

Przystanek Alaska

Pierwszy polski kontakt z Alaską prawdopodobnie miał miejsce na początku XVIII w. Wtedy to za odmowę przejścia na prawosławie zesłano tu Ignacego Koszarzewskiego, księdza unickiego z Wołynia. Dzięki temu niepokorny duchowny stał się wielkim podróżnikiem. Ślady jego bytności na Alasce otaczają nas zewsząd: jest tu osada Kosarewski, zlokalizowana na lewym brzegu rzeki Jukon, na wprost miasteczka Holy Cross, jest Kosarefsky River, łącząca się z rzeką Jukon pod Holy Cross czy wreszcie indiańska osada, nosząca jego imię, zloka-

lizowana w miejscu, gdzie dawniej stał jego dom.

W Talkeetnie rangerzy roztaczają przed nami mrozące krew w żyłach widze, opowiadają o czyhających tu na nas niebezpieczeństwach. Przestrzegają, by nie lekceważyć tego pięciokrotnie większego od Polski łądu, na którym żyje zaledwie 2,5 miliona ludzi oraz całe stado łośi, karibu, wilków i niedźwiedzi grizzly.

– Będziecie zdani tylko na siebie, swoje doświadczenie i ekwipunek – podkreślają.

Uważnie słuchamy, co mają nam do powiedzenia, po czym udajemy się na jedno z dwóch lotnisk, znajdujących się w Talkeetnie. Tu czeka awionetka, która przetransportuje nas na lodowiec Kahiltna, znajdujący się na wysokości 2154 m n.p.m. Czterdziestominutowy przelot nad masywem górskim Alaska Range to czysta przyjemność. Stąd rozpoczniemy naszą pieszą przygodę. Cały zespół, czyli Beata, Maciek, Bartek, Kasia, Jacek, Ilona z Przemkiem i Rafał z Anią, już nie może się doczekać, kiedy ruszymy na McKinley – najwyższy szczyt Ameryki Północnej

(6194 m n.p.m.). Lecieliśmy tu przez tyle godzin, a wciąż jest ten sam dzień. I ciągle widno! Do tego będziemy musieli się zresztą przyzwyczaić, bo o tej porze roku nocy tu nie ma wcale.

– Latarki się nam nie przydadzą – śmiejemy się.

Mayonez Way

Dobre humory opuszczają nas na chwilę, gdy wychodzimy na lodowiec. Alaska wita nas siarczystym, 20-stopniowym mrozem. Z nostalgią wspominamy wcześniejsze komfortowe warunki noclegowe w Arctic Adventure Hostel w Anchorage i w Bunkhouse w Talkeetnie. Tu o wygodach trzeba zapomnieć. Słabnące morale grupy ratuje zrobiona przez Jacka i Maćka fantastyczna jajecznicza na boczkach.

– Oj, zatęsknimy jeszcze za takim jedzeniem – mówię do grupy.

Mimo różnych obaw, pełni entuzjazmu przepakowujemy swój ekwipunek na sianie, które będziemy ciągnąć pod górę, podczepione na karabinkach do uprzęży. Od tej chwili Ilona (diabetyczka, znana już dobrze czytelnikom „n.p.m.”) i jej

mąż Przemek będą maszerować samodzielnie. Ale nasze drogi skrzyżują się jeszcze parę razy.

Pierwszy etap to droga do Ski Hill (2380 m n.p.m.), gdzie będziemy dziś nocować. Słońce świeci dość ostro, dzięki czemu mamy wspaniałą widoczność oraz niesamowitą sposobność do robienia zdjęć. Czas rzucić okiem na mapę. Bartek zagląda do swojego plecaka, w którym znajduje się nasza kartograficzna pomoc. Niestety, nie wiadomo, jakim sposobem odkręcił mu się słoik z majonezem i droga, którą mamy iść, na mapie cała jest umazana majonezem.

– A zatem musimy podążać Mayonez Way – śmiejemy się.

Po sześciogodzinnej wędrówce dochodzimy do obozu. Jesteśmy nieco zmęczeni, więc z ulgą odnotowujemy, że nasi poprzednicy zostawili po sobie platformy pod namioty i lodowe murki, chroniące przed wiatrem i śniegiem. Rozbijamy szybko obóz i resztę dnia spędzamy na rozmowach. Parę godzin później dołączają do nas także bardzo zmęczeni Ilona z Przemkiem. Słońce zachodzi tu około północy, więc rozmowa

wom nie ma końca. A i tak zasnąć jest ciężko, bo na zewnątrz przez cały czas jasno.

Nazajutrz dość szybko, po około czterogodzinnym marszu, dostajemy się do obozu II na Kahiltna Pass (2750 m n.p.m.). Zbieramy tu siły na następne dwa dni, w czasie których chcemy się dostać do Base Campu, zlokalizowanego na wysokości 4350 m n.p.m. Czeka nas stąd jeszcze spory kawał drogi, a zatem w celu lepszej aklimatyzacji postanawiamy podzielić go na dwie grupy. Najpierw idziemy do Motorcycle Camp (3350 m n.p.m.). Aura nam sprzyja: na niebie nie ma żadnych chmur, słońce świeci dość mocno, ale na szczęście wieje lekki wiatr. Ten obóz to już całkiem spore osiedle alpinistów. Zostawiamy tutaj depozyt i wracamy w dół. Kolejnego dnia czeka nas przecież ostre podejście do bazy głównej.

O poranku wiążemy nasze sianie w konwój po trzy sztuki, a sami łączymy się liną asekuracyjną. Ruszamy. Każdy kilogram czujemy teraz podwójnie. Marsz staje się katogą: uprzęż wrzyna się w biodra, sianie przewracają. Na dodatek pogoda zaczyna się pogarszać, a widoczność przez opady śniegu ogranicza się do kilkunastu metrów. Gdy osiągamy Windy Corner, zaczynamy rozumieć jego nazwę. Wieje naprawdę solidnie. Ale nie ma co, musimy dotrzeć na miejsce. Początkowo chcemy nocować w obozie poniżej Base Campu, ale mijający nas Francuzi zapewniają, że nie warto.

– Do obozu zostało wam tylko dwadzieścia minut – mówią.

A zatem idziemy dalej. Niestety, okazało się, że nie trzeba było ich słuchać. Do obozu docieramy po ponad dwóch godzinach. Jesteśmy wyczerpani. Przemek z Iloną dochodzą jeszcze później niż my, a tu jeszcze trzeba wrócić po część bagażu. Ostatecznie w namiotach znajdujemy się po północy.

To nie jest Ameryka

Po solidnym odespaniu zaległości z poprzednich dni – czas na odpoczynek. Za pomocą lodowych pił wycinamy bloki lodowe, które układamy dookoła namiotów. Osłonią nas później od ostrych wiatrów i śniegu. Na zewnątrz ładna pogoda, a zatem wspinacze, którzy zjechali tu ze wszystkich stron świata, wychodzą ze swoich namiotów na pogaduszki. Oprócz nas są tu Włosi, Niemcy, Francuzi, Koreańczycy, Czesi, Austriacy oraz, oczywiście, Amerykanie. Na środkowym placu naszym pomnik lub statua stoi naszym nieosłonięty sedes. Rangerzy ostro

pilnują, żeby odchody nie skałyły czystego, alaskiego śniegu, który jest przecież naszym źródłem wody. Na tej wysokości, przy braku odpowiedniej ilości tlenu, czas uzyskania litra wody to około jedna godzina, tak więc nic dziwnego, że całe życie towarzyskie toczy się przy gotowaniu, a rozmowom na temat jedzenia nie ma końca. Z uwagą śledzimy również informacje, umieszczane na tablicy przed namiotami rangerów, o prognozie pogody na nadchodzące dni.

Base Camp zaskakuje słabym zapleczem socjalnym. W obozach pod innymi górami można po odpowiedniej opłacie zadzwonić z telefonu satelitarne, sprawdzić pocztę w internecie, zjeść pizzę czy zupę, napić się pepsi. A tutaj nic. Tylko namiot sanitarny z namiotami sypialnymi strażników. I to wszystko. Słabo, jeśli chodzi o Amerykanów... Ale czeka nas również pozytywne zaskoczenie. Nie ma tu aroganckich i wygadanych kowboi, znanych nam dobrze z filmów i teledysków.

– Alaska to nie Stany – powiadają miejscowi.

**Będziecie zdani
tylko na siebie,
swoje doświadczenie
i ekwipunek
– podkreślają rangerzy**

Tu widać to rzeczywiście dobrze. W bazie poznajemy prawdziwych ludzi gór, z charakterami wyrobionymi przez trudne środowisko, w którym po prostu trzeba sobie pomagać, gdzie serdeczność i życzliwość są cenniejsze niż jakiekolwiek pieniądze.

Wyżej się nie da

W sobotę prognoza pogody nie pozostawia złudzeń. Przed nami ostatnie trzy dni „lampy”, a potem załamanie, nie wiadomo na jak długo.

– Nie ma na co czekać. Bierzymy sprzęt, jedzenie i ruszamy – zarządzam.

Na początek mamy do pokonania podejście na przełęcz na 5000 m n.p.m. Ścieżka stopniowo zwiększa swój kąt, idziemy więc związani liną, ostrożnie stawiając kroki. W pierwszej trójce Jacek, Maciek i Bartek, w drugiej Beata, Kasia i ja. Reszta postanawia odpocząć jeszcze przez jeden dzień na dole. Ostatnie dwieście metrów to 50-stopniowe nachylenie w lodzie Headwall. Kolejka do poręczenia zrobiła się niezwykle długa. I nie ma się czemu dziwić, każdy chce wy- ▶



FOT. ZBIGNIEW BĄK

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa

korzystać sprzyjającą aurę. Na przełęczy ostry wiatr i mróz w granicach minus dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Idziemy w prawo granią, po obu stronach spora ekspozycja. Na twarzach moich towarzyszy oprócz wysiłku widać, że dokucza im też wysokość. Nasze ruchy stają się coraz bardziej powolne, każdy krok przychodzi z trudem. Do obozu przychodzimy w ostrej zawiei, około godziny 20 i z trudem rozstawiamy namioty, szarpane przez wiatr. Następny dzień poświęcamy w całości na regenerację sił, co pozwala nam z jeszcze większą werwą zaatakować szczyt kolejnego dnia. Krótka odprawa o dziesiątej rano (bo o tej porze tutaj się atakuje szczyt) i ruszamy, trawer-

sując zboczne góry. Na wierzchołek pnie się razem z nami około czterdzieści osób – to efekt okna pogodowego, które wykorzystujemy.

Ale słońce to jedyna tego dnia zachęta do podjęcia próby zdobycia jednego ze szczytów, zaliczanych do Korony Ziemi. Wieje przenikliwy wiatr, prędkością dochodzący do 120 kilometrów na godzinę, a mróz poniżej minus trzydziestu stopni Celsjusza wcale nie ułatwia zadania. Tym bardziej, że przy dużym wietrze jego odczuwalność jest prawie dwukrotnie większa.

Za przełęczą Denali skręcamy ostro w prawo, gdzie jesteśmy wystawieni na silne podmuchy. Śnieg zostaje wywiany

do czystego lodu, który zawzięcie atakują nasze raki i czekany. Każdy metr z trudem wydzierany jest górce, nasze twarze przez cały czas smagane są drobnymi okruciami lodu i śniegu, które rzuca w nas każdy podmuch. I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, o trzeciej po południu wiatr ustaje. Przechodzimy krótkie plateau, tzw. Football Field (6030 m n.p.m.) i zostaje ostatnie ostre podejście. Na twarzach ludzi maszerujących obok widać ogromny wysiłek, jaki wkładają w te ostatnie metry. Zostało nam tylko jeszcze jedno przejście śnieżną granią, dość zresztą niebezpieczną, bo gdzieś tam znajdują miejsce na oparcie tylko na jednego raka i oto Alaska stoi

u naszych stóp. Wyżej już na tym kontynencie nie ma nic – McKinley zdobyty!

Zdradliwa Denali

Kolejnego dnia odpoczywamy po wczorajszych emocjach. O piętnastej razem z Beatą, Bartkiem i Maćkiem decydujemy się na zejście w dół do bazy. Zostają Jacek z Kasią, którym wczoraj się nie udało zdobyć góry. Po krótkiej przerwie chcą ponownie zaatakować szczyt. Powrót jednak daleki jest od sielanki.

Fala nieszczęść zaczyna się od Bartka, który podczas marszu potyka się o grań i zderza się z kimś, idącym z dołu. Skutek jest opłakany, bo wybija sobie bark. Ledwo go sprowadzamy z jego plecakiem w dół. Najgorsze są poręczówki i 50-stopniowa lodowa ściana. Ciężko zachować bezpieczeństwo grupy. Na szczęście po zejściu do połowy góry oddajemy Bartka w ręce rangerów, którzy biorą go do sań i zwożą do bazy. Na dole z gorącą herbatą czekają już na nas niezawodni Ania i Rafał.

W międzyczasie Przemek i Ilona, którzy jeden dzień dłużej zbierali siły, postanawiają zaatakować szczyt. Niestety, w nocy przychodzi załamanie pogody. Pada śnieg, temperatura spada do minus dwudziestu stopni Celsjusza, a na dodatek wieje bardzo silny wiatr (80-120 km/h). Widoczność nie przekracza dwudziestu metrów. A zatem czeka ich przymusowy biwak na 5300 m n.p.m. Ilona nie czuje się najlepiej i przez trzy dni nie wychodzi z namiotu. Przemek na zewnątrz wychodzi tylko po to, by odkopać namiot i sprawdzić, czy nie zmieniła się pogoda. Niestety, aura zupełnie nie sprzyja jakimkolwiek górskim działaniom. Decyzja może być więc tylko jedna – odwrót. Ale „złośliwość” Denali nie ma końca. Za-



Oczekiwanie na dobrą pogodę w bazie budzi w niektórych alpinistach rzeźbiarską fantazję

nim nasi przyjaciele dotrą do obozu, będą się jeszcze zmagać z potwornym wiatrem, a Przemek poślizgnie się i w efekcie skrecie nogę w kostce, dodatkowo rozrywając torebkę stawową. Z Denali do bazy wróci helikopterem.

Pogoda powoli zaczyna pokazywać, co potrafi. Następne trzy dni razem z Maćkiem i Beatą tkwimy w namiotach. Ciągłe pada śnieg i wieje przenikliwy wiatr. Co parę godzin odkopujemy namioty. Z Bartkiem też jest nieciekawie. Lekarz próbował nastawić mu bark, ale się nie udało, a helikopter po niego w tych warunkach nie przyleci. I tak przez siedem dni. Wtedy nasza cierpliwość się kończy.

Postanawiamy się wyrwać z tej pułapki. Schodzimy w trójkę w dół. W tych warunkach sanie ciągle się przewracają, śniegu jest po kolana, trzeba torować drogę.

– Słyszałem od znajomego, że skoro każdy człowiek ma swojego anioła stróża, to ja ze względu na intensywny tryb życia muszę mieć chyba dwunastu opie-

kunów. Dziś czuję się, jakby wszyscy wsiedli do moich sań – mówię do Maćka.

Do bazy na lodowcu dochodzimy o godzinie 22. Tu okazuje się, że już od czterech dni nie latają helikoptery. Wszyscy są uwięzieni na tym skrawku płaskiego terenu, wciśniętego pomiędzy góry. Niektórym zaczyna się kończyć gaz i jedzenie. Po dwóch dniach i nas zaczyna dopadać wizja głodu. Siedzimy w trójkę w namiocie i powoli zaczynamy mieć tego dość. Na szczęście pojawia się lekka poprawa pogody i w niedzielę w nocy zaczynają kursować awionetki. Bartek, ze względu na doznane obrażenia, dociera do bazy helikopterem. Wreszcie, cali i zdrowi, lądujemy w Talkeetnie, gdzie przystępujemy do regularnych obłężeń miejscowych barów i restauracji. ■

SPONSORZY WYPRAWY



INFORMACJE PRAKTYCZNE

DOKUMENTY

■ Do USA wymagana jest wiza, która przyznawana jest na dziesięć lat w ambasadach w Warszawie i Krakowie. Koszt – 120 \$. Na 60 dni przed wyprawą należy załatwić pozwolenie na zdobywanie góry. Można to zrobić przez Internet – na stronach Parku Narodowego Denali

DOJAZD

■ Najtaniej liniami lotniczymi KLM, warto zarezerwować bilet około 5 miesięcy wcześniej. Koszt około 3800 zł. Lot na lodowiec wykupuje się w Talkeetnie – polecam Talkeetna Air Taxi, firmę, która kursuje nawet przy złej pogodzie (a to ważne przy powrocie). Pozostali latają tylko przy bezchmurnym niebie. Koszt około 550 \$.

■ Najcieplejszymi miesiącami są tu maj, czerwiec i lipiec, one dają największą szansę zdobycia szczytu

BEZPIECZEŃSTWO

■ Alaska jest spokojnym rejonem, niebezpieczeństwo może się tylko pojawić przy spotkaniu z łosiem lub niedźwiedziem, co raczej jest rzadkie

WYŻYWIENIE

■ Ceny żywności podobne do polskich, a zatem nie warto zabierać jedzenia z kraju. Liofilizowana żywność dostępna w supermarketach w Talkeetnie i w sieci sklepów REI

NOCLEGI

■ Arctic Adventure Hostel w Anchorage – czysto i tanio, właściciel wyjeżdża oraz odwozi na lotnisko. W Talkeetnie – w Bunkhouse agencji TAT, która przewozi też na lodowiec (jest to najbardziej sprawdzona firma). Koszt noclegu – 20 \$

PRZEWODNIKI

■ Najdokładniejsze informacje można znaleźć w internecie – wystarczy w wyszukiwarce wpisać słowa Alaska i McKinley

KOSZT WYPRAWY

■ Całkowity koszt wyprawy dla jednej osoby to ok. 8500 zł

REKLAMA

Nowy Górski Sklep Internetowy

RABATY
DLA STAŁYCH KLIENTÓW

MEINDL odo tilak

siulagrande
www.siulagrande.pl

... bo w górach nie ma miejsca na amatorszczyznę...

www.siulagrande.pl